

HEATHER GUDENKAUF

PRZYJDE
PO CIEBIE
NOCĄ

PRZEŁOŻYŁ
ROBERT J. SZMIDT



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Overnight Guest

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczynie: Agnieszka Nowak, Monika Rossiter

Redakcja: Bożena Sęk

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcia na okładce: © Kelly Sikkema; © FETHI BOUHAOUCHINE;

© ERIC ZHU / Unsplash

DTP: Maciej Grycz

THE OVERNIGHT GUEST by Heather Gudenkauf

Copyright © 2022 by Heather Gudenkauf

By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Robert J. Szmidt, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-687-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Sierpień 2000

Dwunastego sierpnia zdyszana i spocona Abby Morris kroczyła po szarej żwirowej drodze, zaliczając wieczorny spacer. Choć miała na sobie koszulę z długim rękawem i spodnie, nie wspominając o grubej warstwie sprayu na owady, to szukające odsłoniętego ciała komary zdążyły otoczyć jej głowę, tworząc wokół niej swoiste halo. Mimo to Abby nie czuła wielkiego dyskomfortu. Była wdzięczna księżycowi za odrobinę blasku i cieszyła się towarzystwem Pepper, ukochanej czarnej labradorki. Mąż Abby, Jay, uważał, że włączenie się o tak późnej porze jest wysoce nieroztropne, ale co zrobić: po całym dniu pracy, odebraniu dziecka z przedszkola i poradzeniu sobie z domowymi obowiązkami mogła wygospodarować czas wyłącznie od wpół do dziesiątej do wpół do jedenastej.

Niczego się nie bała. Dorastała na podobnym odludziu, chadzała podobnymi trasami. Przemierzała nieraz polne drogi

pokryte brudnym żwirem albo ubitą ziemią, nieodmiennie okolone rozległymi polami kukurydzy. Poza tym w ciągu trzech miesięcy – bo tak długo tutaj mieszkali – nie spotkała podczas wieczornych spacerów żywej duszy, co bardzo jej pasowało.

– Roscoe! Roscoe! – dobiegł z oddali damski głos. Ktoś przywołuje psa do domu na noc, uznała Abby. – Rooo-s-cooo!

Słowo to było wypowiedane z charakterystycznym zaśpiewem podszytym jednak irytacją.

Pepper dyszała ciężko, jej mięsisty jęzor nieomal włókł się po ziemi.

Abby przyspieszyła kroku. Zbliżała się właśnie do połowy zwyczajowej pięciokilometrowej pętli. Do miejsca, gdzie pola kukurydzy nieomalże połykały żwirową drogę. Skręciła w prawo i przystanęła. Jakieś czterdzieści metrów od niej na skraju drogi stał pikap. Poczuła na karku dreszcz niepokoju, gdy Pepper popatrzyła na nią wyczekująco. Pewnie ktoś złapał gumę albo miał kłopoty z silnikiem i dlatego zostawił tutaj samochód, rozumowała Abby.

Ruszyła dalej, ale już moment później tarcza księżycy zniknęła za pierzastą chmurą, pogrążając świat w dole w mroku i uniemożliwiając Abby zobaczenie, czy ktoś siedzi za kierownicą. Przechyliła głowę, by sprawdzić, czy silnik wozu nadal pracuje, ale słyszała jedynie elektryczne piłowanie cykad i dyszenie Pepper.

– Chodź, piesku – rzuciła półgłosem, cofając się o kilka kroków. Labradorka szła jednak dalej w kierunku auta, zygając z nosem tuż przy ziemi. – Pepper! – rzuciła Abby ostrzejszym tonem. – Do nogi!

Słyszając ponaglenie w głosie pani, suka uniosła głowę i niechętnie wykonała polecenie, porzucając ciekawy zapach.

Czyżby w mroku za przednią szybą coś się poruszyło? Abby nie miała pewności, lecz nie umiała pozbyć się wrażenia, że ktoś ją stamtąd obserwuje. Gdy chmura zniknęła, dostrzegła za kierownicą skuloną postać. Mężczyzna. Na głowie miał czapkę, w blasku księżyca dostrzegła też bladą skórę, lekko krzywy nos i szpiczastą brodę. Po prostu tam siedział.

Ciepły wietrzyk sprawił, że pola wokół zaszeleściły głośniej, podnosząc jej włoski na karku. Gdzieś z prawej dobiegł suchy chrzęst. Pepper natychmiast się zjeżyła i zaczęła warczeć.

– Chodź – powiedziała Abby, cofając się jeszcze bardziej, po czym zawróciła i potruchtała w kierunku domu.

Godzina 0:05

Szeryf John Butler stał pośrodku butwiejącego tarasu za domem, przyglądając się uważnie podwórzu. Deski pod jego bosymi stopami uginały się i skrzypiały cicho. Pobliskie zabudowania spowijał mrok, sąsiedzi i ich rodziny dawno już pozasypiali. Dlaczego mieliby czuwać? Tuż obok mieszkał sam szeryf. To znaczyło, że nie muszą się niczego obawiać.

John z trudem nabierał tchu. Nocne powietrze było ciepłe, nieruchome i gęste, czuł jego ciężar na piersi. Tłusty żółtawy księżyc wisiał nisko. Pełnia jesiotrów, tak się chyba mówi na to zjawisko w sierpniu? Szeryf nie był tego pewien.

Ostatni tydzień okazał się spokojny. Nawet zbyt spokojny. Nie odnotowano ani jednego włamania, nie doszło do poważniejszego wypadku drogowego, nie wybuchło laboratorium mety, nikt nie zgłaszał też przemocy domowej. Nie znaczyło to,

że hrabstwo Blake było wcześniej siedliskiem bezprawia. Jak wszędzie, także tutaj dochodziło czasem do przestępstw i wykroczeń. Z wyjątkiem minionego tygodnia. Pierwsze cztery dni spokoju przyniosły Johnowi wyczekiwaną ulgę, potem jednak zaczął odczuwać narastający niepokój. Brak pracy zaczynał mu doskwierać. Po raz pierwszy w dwudziestoletniej karierze zdołał się wyrobić z całą papierkową robotą.

– Nie szukaj kłopotów tam, gdzie ich nie ma – usłyszał wypowiedziane półgłosem słowa.

Janice, z którą ożenił się trzydzieści dwa lata wcześniej, objęła go w pasie, opierając mu głowę na ramieniu.

– Bez obaw – odparł po krótkiej chwili śmiechu. – Zazwyczaj to one mnie znajdują.

– No to wracaj do łóżka – poprosiła, ciągnąc go za rękę.

– Zaraz przyjdę – obiecał Butler. Janice złożyła ręce na piersi, posyłając mu surowe spojrzenie. Podniósł więc prawą rękę jak do przysięgi. – Za pięć minut będę, daję słowo.

Zostawiła go na tarasie, choć zrobiła to z ogromną niechęcią.

John powiódł spracowaną dłoń po chropowatej cedrowej poręczy. Czas wymienić cały taras, bez dwóch zdań. Powinien rozebrać go do gołej ziemi i zbić od nowa. Może jutro pojedzie do Love's w Sioux City. Jeśli nadal będzie tak spokojnie, nie zabraknie mu czasu na prace budowlane. Zdławił ziewnięcie, zamknął drzwi na zasuwkę i podreptał w głąb holu, ku własnemu łóżku i czekającej w nim Janice. Kolejna spokojna noc, pomyślał. Lepiej cieszyć się nią, póki trwa.

Huk pękających baloników wybudził Deb Cutter z głębokiego snu. Kolejne puknięcie, potem jeszcze jedno. Może dzieci bawią się pozostałościami petard z Dnia Niepodległości.

– Randy... – wymamrotała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Wyciągnęła rękę w kierunku męża, lecz jego połowa łóżka była pusta, niezmięta pościel wydawała się bardzo chłodna w dotyku. Wysunęła się spod kołdry, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Nie zobaczyła pikapa Randy’ego tam, gdzie zwykle go zostawiał, przy dojarni. Wozu Brocka także nie było. Zerknęła na zegar. Minęła już północ.

Coraz mniej rozumiała siedemnastoletniego syna. Jej słodki chłopczyk zawsze był narwany, ale ostatnio zrobił się także wredny. Nic dobrego z niego nie wyrośnie, tego była pewna. Brock się urodził, gdy oboje z mężem mieli po osiemnaście lat i ledwie umieli zadbać o siebie, a co dopiero mówić o niemowlęciu.

Deb zdawała sobie sprawę, że Randy nigdy nie pobażał synowi. Czasami bywał dla niego aż za ostry. Gdy chłopak był mały, wystarczyło jedno groźne spojrzenie, by przywołać go do porządku, ale te czasy dawno minęły. Teraz reagował dopiero, gdy został dziedziczonej przez łeb. Musiała przyznać, że jej mężowi zdarzało się czasami przekroczyć granicę, co skutkowało sińcami, rozciętymi wargami, zakrwawionym nosem. Zawsze jednak znajdował usprawiedliwienie dla przemocy – życie nie jest bajką, a im szybciej Brock pojmie tę prawdę, tym lepiej dla niego.

Ech, ten Randy... Ostatnimi czasy wydawał się taki zdystansowany i wiecznie zajęty. Nie tylko pomagał rodzicom prowadzić farmę, ale także odnawiał inne stare gospodarstwo składające się z pół tuzina zabudowań i chlewika, a do tego

próbował dbać o własne uprawy. Rzadko kiedy widywała go za dnia.

Deb robiła, co mogła, by nie żywić do niego urazy, która jednak ścisła ją nieodmiennie za gardło. Opętany. Taki właśnie był ostatnio Randy. Miał obsesję na punkcie remontowanych ruder i jeszcze większą na punkcie posiadania ziemi. Zawsze chodziło mu o ziemię. Problem w tym, że znów idzie załamanie gospodarcze, a oni obudzą się z ręką w nocniku jako właściciele nie jednej, a dwóch nieruchomości, których nie zdołają utrzymać. Czuła, że dłużej tego nie znieśie.

Kolejny huk dobiegł z oddali. Cholerne dzieciaki, pomyślała ze złością. Całkowicie wybudzona wbiła wzrok w leniwie obracający się pod sufitem wentylator, czekając na powrót męża i syna.

Godzina 1:10

Z początku dwunastoletnia Josie Doyle ze swoją przyjaciółką Becky Allen biegła w kierunku głośnych huków, choć znacznie sensowniej byłoby zawrócić, ale uznała, że lepiej ukryć się w domu – tam, gdzie byli teraz jej mama i tata oraz Ethan. Tam będą bezpieczne. Josie i Becky zbyt późno odkryły, jak bardzo się mylą.

Obróciły się w końcu tyłem do tego łomotu i trzymając się za ręce, ruszyły przez podwórze farmy ku jakże bliskiemu polu kukurydzy, której wysokie sztywne łodygi wyglądały jak portal wiodący do jedynego bezpiecznego miejsca.

Josie była pewna, że słyszy za sobą tupot ciężkich kroków, obróciła się więc, by sprawdzić, kto za nimi biegnie. Nie zobaczyła niczego, nikogo – tylko dom skryty w mroku nocy.

– Szybciej – wysapała Josie, ciągnąc Becky za rękę i zmuszając do przyspieszenia kroku.

Biegły dalej, dysząc ciężko. Już docierały do celu, ale jej przyjaciółka musiała się potknąć. Krzyknęła, gdy jej ręka wyslizgnęła się z dłoni Josie. Nogi ugięły się pod nią, padła na kolana.

– Wstawaj, wstawaj – błagała Josie, ciągnąc ją za rękę. – Proszę.

Raz jeszcze odważyła się zerknąć za siebie. W blasku księżyca dostrzegła przez moment zarys sylwetki wynurzającej się zza stodoły. Zamarła z przerażenia, widząc, że ten człowiek unosi rękę i mierzy do nich. Puściła dłoń Becky, odwróciła się i uciekła. Jeszcze tylko kilka kroków i dotrze do celu.

Wbiegała w łan kukurydzy, gdy padł kolejny strzał. Poczuła w ramieniu tak rozrywający ból, że niemal natychmiast odebrało jej dech. Nie zatrzymała się jednak, nie zwolniła, uciekała dalej, czując, jak po ręce ścieka jej gorąca krew.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova